

Tytuł oryginału *Autobiographie d'une Courgette*

© Plon 2002

Tous droits réservés.

Published by arrangement with „Literary Agence de l'Est”

© Copyright for the Polish translation
by Elżbieta Burakowska

© Copyright for the Polish edition
by Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 2007

Projekt okładki *Beata Kulesza-Damaziak*

Opracowanie redakcyjne *Marta Szafrńska-Brandt*

Korekta *Zespół*

ISBN 978-83-211-1782-9

Dziękuję dyrektor Jacqueline Vialatte, a także wychowawcom i pani psycholog z domu dziecka Pressoirs du Roi, za liczne rady, jakie od nich otrzymałem w trakcie pisania mojej książki.

Dziękuję również Pascalowi Lagarde, nauczycielowi w Forges, i Marie-Anne Baulon, sędzinie w sądzie dla nieletnich w Bobigny.

Proszę wszystkie te osoby, by nie szukały swego podobieństwa do postaci występujących w powieści: fikcja bywa zwodnicza.

Wprawdzie dom w Pressoirs du Roi i szkoła w Forges dostarczyły mi pewnej inspiracji, a pisząc, starałem się trzymać realiów, także prawnych, ale reszty dopełniła wyobraźnia autora.

Proszę, niech wszelkie dowolności zostaną mi wybaczone...

Odkąd byłem zupełnie mały, chciałem zabić niebo, z powodu mojej mamy, która często mi powtarzała:

– Widzisz, to wszystko tam, w górze, przypomina nam, że my tu, na ziemi, jesteśmy niczym.

– Życie, Matołku, jest jak to szare niebo, pełne cholerych chmur. Zsyła nam same nieszczęścia.

– Wszyscy faceci chodzą z głową w chmurach. Mam ich gdzieś, nie chcę ich widzieć, jak tego idioty twojego ojca, który się ulotnił, poszedł w świat z jakąś gęsią.

Czasem mama mówi nie wiadomo co.

Byłem za mały, kiedy mój tata sobie od nas poszedł, ale nie rozumiem, dlaczego miałby zabierać gęś z sąsiedztwa, żeby z nią podróżować po świecie. Gęsi są głupie: jedzą ziarno, które namoczyłem w piwie, a potem się zataczają i padają pod murem.

To nie wina mamy, że opowiada takie głupstwa. To z powodu tych piw, które wypija, oglądając telewizję.

Potem narzeka na niebo i daje mi po uchu, chociaż nie zrobiłem nic złego.

W końcu doszedłem do wniosku, że niebo i te szturchańce i razy, które od niej obrywam, mają ze sobą coś wspólnego.

Jeśli zabiję niebo, mama nie będzie się już tak denerwować i będę mógł spokojnie oglądać telewizję, i nie dostanę takiego lania, że popamiętam na całe życie.

Dziś jest środa.

Pani w szkole mówi, że środa to „niedziela dla dzieci”, bo mamy wolne.

Ja tam wolałbym iść do szkoły. Mama ogląda telewizję, a ja chciałbym zagrać w kulki z Grégorym, ale Grégory mieszka daleko i nie może już u nas spać, odkąd nasze mamy się pokłóciły z powodu piłki i wybitej szyby w oknie. Moja mama powiedziała, że Grégory to bandyta, i rzuciła słuchawką, krzycząc: „dziwka”, a mama Grégory’ego darła się, że „lepiej być dziwką niż alkoholiczką”.

Proszę mamę, żeby ze mną pograła, ale ona mówi do telewizora: „Uważaj, stoi za tobą, chce cię zabić”, więc powtarzam, ale mama ciągle gapi się w telewizor. „No co za idiota!”, wykrzykuje, nie wiem, do mnie czy do tego pana, którego i tak zabili, chociaż go uprzedzała.

Idę do swojego pokoju i patrzę przez okno na chłopaka z sąsiedztwa, który zawsze bawi się sam i nie potrzebuje żadnego towarzystwa. Siada okrakiem na świnii, jakby to był osioł, i zaśmiewa się do rozpuku. Mnie się nudzi, więc idę do pokoju mamy. Wszystko tu rozbabrane, ubrania walają się na podłodze. Ściele łóżko, muszę przysunąć sobie krzesło, żeby położyć rzeczy na wielkiej górze bielizny do prania, a potem już

nie wiem, co robić, więc grzebię w szufladzie komody, pod stertą niewyprasowanych koszul, i znajduję rewolwer.

Jestem bardzo zadowolony, myślę sobie, że pójde pobawić się nim w ogrodzie. Wychodzę z pokoju, jakby nigdy nic, z rewolwerem ukrytym w spodniach.

Mama i tak na mnie nie patrzy, mówi do telewizora: „Ta dziewczyna nie jest dla ciebie, mój chłopcze!”.

Kiedy już jestem na dworze, nie muszę celować. Niebo jest naprawdę duże.

Strzelam raz i upadam na ziemię.

Podnoszę się, strzelam drugi raz i znów upadam.

Z domu wychodzi mama. Utyka z powodu nogi, która się źle zrosła, i wrzeszczy: „Co tu się dzieje?”, potem widzi mnie z rewolwerem w ręku, staje nade mną i krzyczy: „Co ja Ci zrobiłam, dobry Boże, że mnie pokarałeś takim Matołkiem! Wdałeś się w ojca. Oddawaj mi to, smarkaczu!”.

I próbuje mi wyrwać rewolwer.

– Ale to dla ciebie – bronię się – nie chcę, żebyś na mnie krzyczała. – I nie puszczam rewolweru, a mama się przewraca.

– Cholera – mamrocze, trzymając się za chorą nogę, więc pytam: „Boli cię?”, a ona daje mi kopniaka drugą nogą, tą zdrową, i dalej krzyczy: „Oddaj mi to natychmiast, nie będę powtarzać dwa razy!”, ja mówię: „Właśnie to powtarzasz drugi raz” i nie puszczam, mama gryzie mnie w rękę, ja ciągle mocno trzymam rewolwer, próbuję się czegoś złapać, pada strzał i mama osuwa się do tyłu.

Leżę długo, wyciągnięty na trawie, i przypatruję się chmurom.

Szukam w nich taty, żeby mi powiedział, co robić.

Nie zabiłem nieba.

Tylko trochę podziurawiłem chmury, które spuszcza ją na nas same nieszczęścia. A może to tata zesłał mi swoje łzy, żeby zmyły krew z szlafroka mamy.

Na początku myślałem, że mama śpi albo udaje, żeby mi zrobić kawał, chociaż to nie w jej stylu, zwłaszcza odkąd miała wypadek.

Potrząsam nią lekko. Przypomina szmacianą lalkę, z opadającymi ramionami, z szeroko otwartymi oczami. Przychodzą mi do głowy filmy policyjne, gdzie seryjni mordercy zabijają całe mnóstwo kobiet, a potem one są podobne do miękkich szmacianych lalek, i myślę: „Zabiłem mamę”.

W tych filmach nigdy nie wiadomo, co się dalej dzieje ze szmacianymi lalkami, więc czekam, a potem robi się ciemno i jestem strasznie głodny. Idę do domu zjeść kanapkę z majonezem i boję się już wyjść.

Myślę o żywych trupach, które wstają z grobu, żeby straszyć ludzi, i chodzą z siekierami, i tak okropnie wytrzeszczają oczy.

Wdrapuję się na strych. Jestem pewien, że mama przez tę swoją sztywną nogę nie przyjdzie mnie tu szukać.

Zjadam kilka jabłek. Nie mam odwagi grać nimi w nogę.

W końcu zasypiam.

Kiedy otwieram oczy, na dole jest jakiś hałas, boję się, że to żywe trupy i szmaciane lalki wołają mnie po imieniu.

Oprócz pani w szkole nikt już nie mówi do mnie „Ikar”.

Dla wszystkich jestem Matołek.

Nagle drzwi się otwierają i widzę jakiegoś pana. Nie wygląda na żywego trupa, ale one czasami są takie sprytne, że potrafią udawać zwykłych ludzi, jak w *Porywaczach ciał*, więc rzucam w niego wszystkimi jabłkami, jakie mam pod ręką, a on się przewraca.

Potem wpada ten chłopak, syn naszego sąsiada, z całą masą policjantów.

Jeden z nich mówi: „Uwaga na jabłka” i próbuje przejść między nimi, podczas gdy chłopak rzuca się do tego pana, który wszedł najpierw, a do mnie krzyczy: „Zabiłeś mojego tatę!”, ale inny policjant mówi: „Nic się nie stało, twój tata tylko się potłukł”, i tamten pierwszy pan się podnosi. Dopiero teraz widzę, że to nasz sąsiad. Wszyscy zbliżają się do mnie, więc myślę sobie: „To już koniec filmu”.

Zakrywam twarz rękami i czekam na lanie, które popamiętam na całe życie, ale czuję, że ktoś głaszcze mnie po głowie, więc rozsuwam palce: tamten tata siedzi w kucki tuż obok mnie i pyta: „Widziałeś pana, który to zrobił, chłopcze?”.

Wszyscy policjanci patrzą na mnie, i chłopak z sąsiedztwa także.

Trochę się boję tych wpatrzonych we mnie oczu, więc zaczynam się trząść, i słyszę gruby głos, który mówi: „Zostawcie mnie z nim samego, przecież widzicie, że chłopak jest przerażony”.

Wszyscy wychodzą, oprócz policjanta z grubym głosem. Jest duży, siada na podłodze, robiąc sobie miejsce wśród jabłek.

Spod koszuli wyłazi mu kawałek wielkiego białego brzucha.

– Ile masz lat, Ikarze?

Wyciągam przed siebie obie ręce, zginam kciuk i liczę, jak nauczyła mnie pani w szkole.

– Dziewięć – odpowiadam.

Wyciąga z kieszeni notes i coś w nim zapisuje. Później jego gruby głos robi się mniej gruby, kiedy pyta mnie, co się stało, a ja opowiadam o żywych trupach, szmacianych lalkach i porywaczach ciał, którzy chcą zawładnąć ludźmi.

Policjant drapie się w głowę, zsuwając na bok swoje kepi, i mówi, że nazywa się Raymond i że mogę go tak nazywać.

– Zgoda – odpowiadam – ale ty będziesz do mnie mówił Matolek.

Przez chwilę nic nie mówi, a potem bardzo cicho (tak cicho, że muszę go poprosić, żeby powtórzył) pyta:

– Więc jak to się stało z twoją mamą?

– A, to... to wszystko przez niebo.

Policjant ogląda swoje zabłocone buty i dziwnym głosem powtarza: „Niebo?”.

No to opowiadam mu o moim tacie, który ma głowę w chmurach, i o tym, jak jego peugeot zderzył się z drzewem i mama odtąd ma sztywną nogę, i o tym, że jakiś pan przysyła co miesiąc pieniądze na jedzenie i ubrania dla mnie.

– A gdzie jest twój tata? – pyta Raymond.
– Tata pojechał w świat z jedną gęsią.
– Biedny mały – mówi policjant, głaszcząc mnie po głowie. To całe głaszkanie wydaje mi się śmieszne, więc trochę się odsuwam.

– A twoja mama była dla ciebie dobra? – pyta dalej ten pan i zdejmuje kepi. Włosy pod spodem ma pozlepiane, a na czole odciśnięty okrągły ślad.

– No tak, robi dobre naleśniki i czasem się nieźle bawimy.

– A kiedy się nie bawicie?

Chwilę się zastanawiam:

– To znaczy, jak włąkę na strych?

– Tak, kiedy włączysz na strych.

– To dlatego, że robię głupoty i nie chcę dostać tak, że popamiętam na całe życie. Potem muszę sobie rozcierać policzki, bo zostają ślady. A tutaj mama nie wejdzie, bo ma sztywną nogę.

– A co ostatnio takiego głupiego zrobiłeś?

– No... to chyba jak wziąłem rewolwer, żeby się nim pobawić.

– Rewolwer to nie zabawka, mój mały.

– Ale mnie się nie chciało grać w kulki samemu, mama oglądała telewizję, a Grégory już do nas nie przychodzi, więc się nudziłem. Nie umiem gadać ze świniami jak ten chłopak, co mieszka obok nas.

– No dobrze, a gdzie znalazłeś ten rewolwer? – pyta Raymond, drapiąc się w głowę. Może ma wszy albo coś takiego.

– W pokoju mamy.

– Twoja mama często pozwalała ci brać rewolwer?

– Nie, przedtem nawet nie wiedziałem, że go ma.

(Boję się powiedzieć, że trochę grzebałem w szufładzie).

Raymond gryzie ołówek, jak się żuje żdźbło trawy, kiedy się jest na łące.

– I co się potem stało?
– Wyszedłem na dwór i bawiłem się tym rewolwerem.
– To nie jest zabawka.
– Już pan to mówił. Gdybyś pan tam był, mógłbym z panem pograć w kulki.

– Mów do mnie Raymond. Strzelałeś do czegoś?

– Tak, chciałem zabić niebo.

– Zabić niebo?

– No bo ono zsyła na człowieka same nieszczęścia i potem mama pije dużo piwa i cały czas krzyczy, i dostaje od niej po buzi albo gdzie indziej i mam czerwone ślady.

– Mama cię biła?

– Najpierw to tylko wtedy, jak zrobiłem coś złego, ale czasem krzyczy i daje mi w skórę za nic, wtedy włąkę na strych i śpię razem z jabłkami.

Raymond zapisuje coś w swoim notesie, nie wiem co, i wysuwa przy tym koniuszek języka; to mnie śmieszy.

– Z czego się śmiejesz, mój chłopcze? – słyszę jego głos.

– Wysuwasz język jak gruby Marcel, kiedy coś przepisuje.

Policjant uśmiecha się i znowu drapie się po głowie, pytam go, czy ma wszy, a on ciągle swoje, jakby był głuchy:

– Strzeliłeś do mamy?

– Nienaumyślnie, mama chciała mi zabrać rewolwer, była okropnie zła, krzyczała, że jestem taki sam idiota jak mój tata, i rewolwer sam strzelił.

Próbuję połykać łzy, które laskoczą mnie w gardle, ale nie udaje mi się, mam mokre oczy i po chwili nic już nie widzę.

– No już, mały, nie płacz, masz, weź chusteczkę.

Wycieram oczy i czuję, że mi leci z nosa, więc smaruję w chusteczkę.

– Masz jakąś rodzinę?

- Nie, oprócz mamy nikogo.
- Oddaję mu chusteczkę, a on chowa ją do kieszeni.
- W takim razie pójdziesz ze mną na komisariat i zadzwonimy do sędziego.
- Sędzia to taki pan, który uderza młotkiem w stół i wysyła przestępców do więzienia?
- Nie jesteś przestępcą i nie pójdziesz do więzienia, jesteś na to za mały. Sędzia umieści cię w domu, gdzie są dzieci takie jak ty.
- I mama tam przyjdzie?
- Raymond drapie się w głowę i mówi:
- Twoja mama zostanie na zawsze w twoim sercu i w myślach, mój mały. Ale teraz odeszła.
- Poszła do miasta?
- Nie, mały, jest w niebie, z aniołami.
- Nieprawda – odpowiadam – jest z moim tatą.